

Podwójna moralność i wściekłość prowadzą
śmiertelną grę z młodością i niewinnością.
Świetne postaci kobiece, a w tle polskie demony.
Czyta się, jakby się oglądało **NAJLEPSZY CZARNY KRYMINAŁ**.

AGNIESZKA PILASZEWSKA



IGOR
BREJJDYGANT
SZADŹ

MARGINESY



IGOR
BREJDYGANT
SZADŹ

MARGINESY

Magdzie, Gabrysi, Kalince. Moim mądrościom.

COPYRIGHT © BY Igor Brejdygant

COPYRIGHT © BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2017

Tej nocy była pełnia.

Agnieszka próbowała przypomnieć sobie, skąd właściwie wzięła się w tym dziwnym wnętrzu. Miało w sobie coś z porzuconej dawno temu hali fabrycznej, a jednocześnie przypominało ogromną chłodnię ze ścianami pokrytymi grubą warstwą narosłego przez lata szronu. Było jej zimno, ale bardziej niż chłód doskwierał jej silny niepokój, który nie wiązał się jednak bezpośrednio z nią samą, tylko dotyczył kogoś innego, bardzo bliskiego, kogoś, kto zagrożony był znacznie bardziej od niej i kto, miała wrażenie, był gdzieś w pobliżu. W tym momencie usłyszała rozdzierający krzyk swojej córki Joli.

– Mamo! – Krzyk rozniósł się po hali, odbijając się po wielokroć echem od stalowych, pokrytych szronem ogromnych podpór, po czym zapadł się w martwej ciszy równie nagle, jak się pojawił.

Wtedy się obudziła. Skądś, jakby z innej rzeczywistości, do której jeszcze nie dotarła, choć opuściła już poprzednią, dobiegał drażniący dźwięk telefonu. Otworzyła oczy, spojrzała za okno, za którym świtało, i w tym momencie zapomniała, co jej się śniło przed chwilą. Telefon na moment przestał dziurawić ciszę, ale już po kilku sekundach odezwał się znowu. Agnieszka próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest aparat, który z reguły wyłączała przed pójściem spać, ale tym razem zapomniała. Po chwili zlokalizowała źródło dźwięku pod przeciwległą ścianą, przy której stało biurko, a przy nim krzesło. Telefon tkwił w kie-

szeni spodni przewieszonych przez oparcie. Kiedy odezwał się po raz trzeci, nie wytrzymała i wstała z łóżka. Chciała tylko wyciszyć dzwonek i jak najszybciej schować się z powrotem pod ciepłą kołdrę. W pokoju było przeraźliwie zimno, znowu została otwarte okno. Chłód spowodował, że nagle wróciła do niej jakby jedna klatka z zapomnianego snu. Agnieszka przez moment zobaczyła przed oczami pokryte grubą warstwą lodowej szadzi ściany i uczucie nieokreślonego lęku wróciło. Spojrzała na wyświetlacz telefonu, na którym pojawiło się jedno słowo „Szwagier”. Zawahała się. Szwagier nie miał nic wspólnego ze szwagrem, którego nigdy nie miała, nawet kiedy przed wielu laty była przez chwilę zamężna. Szwagier był używaną przez cały wydział do spraw zabójstw i terroru kryminalnego komendy powiatowej w Skarżysku-Kamiennej, a może też i przez inne wydziały tej samej komendy, ksywą jej przełożonego, inspektora Włodzimierza Misiaka. Agnieszka spojrzała na zegarek na wyświetlaczu, po czym nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Jest za piętnaście siódma – odezwała się.

– Wiem, pod lasem przy wsi Orzechówka znaleziono nagie zwłoki młodej kobiety. Jadę, pomyślałem, że zechcesz dołączyć. – Chropowaty głos Szwagra, który normalnie wydawał się przynajmniej przez telefon dosyć ponętny, teraz drażnił jej błonę bębenkową niepotrzebnymi drganiami.

– Może... – Przez moment znów wyobraziła sobie chłód, który ciągnął się za nią ze snu. – Orzechówka? Gdzie to jest?

– W otulinie Lasu Sieradowickiego, wyślę ci koordynaty, ale generalnie pojedziesz na Mnichów, potem...

– Potem włączę sobie GPS. – Agnieszka zamknęła okno i się rozłączyła. Po chwili wahania wróciła jeszcze pod kołdrę, gdzie postanowiła poczekać, aż temperatura w pokoju zbliży się choćby do pokojowej.

Za oknem zrobiło się już całkiem jasno, ale w kuchni wciąż jeszcze paliło się światło, co oznaczało, że Bożena Wałkoń, która właśnie zalewała w szklankach przygotowane zawczasu zwitki herbaciane, wstała już co najmniej godzinę temu, kiedy za oknami panowały wciąż nieprzeniknione ciemności.

– Cześć, mamo. – Ładna dwudziestoletnia blondynka o niebieskich oczach i nieco bladej cerze uśmiechnęła się do Bożeny pakującej kanapki do torebki. – Czemu mnie nie obudziłaś? Pomógłabym ci.

– W czym, Ewuś? – Kobieta spojrzała na stos przygotowanych kanapek i uśmiechnęła się do córki.

– W tym. – Dziewczyna kiwnęła głową w stronę stołu.

Jej matka, która przez trzydzieści lat uczyła w szkole, pół roku temu przeszła na emeryturę i zajęła się produkcją oraz dowozem kanapek do okolicznych firm, a nawet na nieodległą stację benzynową. Robiła to nie tylko po to, by nie stetryczeć, nie zwariować i nie popaść w depresję, ale również by poprawić ich sytuację finansową.

– To moja praca. Czy ja pomagam ci w twojej? Chodzę za ciebie na studia, wystaję za barem, stoję na zmywaku?

– Mamy zmywarkę. – Ewa doskonale wiedziała, że nie ma szans w jakimkolwiek sporze z matką, bo ta, gdyby chciała, udowodniłaby jej nawet w pięć minut, że Ziemia jest płaska. Dlatego nie wchodziła już w dalszą dyskusję.

– Siadaj. – Bożena postawiła przed nią talerz z kanapkami, które różniły się od spakowanych już w szarokremowe papierowe torebki nie tylko jakością, ale też tym, że wykonano je z miłością.

Ewa usiadła i zamyśliła się, patrząc na mamę.

– Śniło mi się coś dziwnego. – Próba przypomnienia snu zaabsorbowała ją na tyle, że łyżka z cukrem transportowanym z cukiernicy do szklanki z herbatą zawisła nagle w kuchennej czasoprzestrzeni.

– Pełnia była, zawsze dziwnie się śni w pełni. – Bożena z ciekawością przyglądała się zastygłej nad szklanką łyżeczce z górką cukru, z której na razie nie spadło nawet ziarenko. – Rozsypiesz.

Ewa posłodziła, a mieszając, usilnie starała się przywołać jakieś obrazy ze snu. Matka zaczęła tymczasem pakować przygotowane kanapki do wielkiej niebieskiej torby. Przez znajdujące się od południowej strony okno wpadły do kuchni pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na ścianie pojawiły się cienie drzew.

– Byłam w lesie, było bardzo cicho... Chyba byłam sama, nie czułam strachu, ale trochę mnie to dziwiło, bo wiedziałam, że tak naprawdę powinnam się bać.

– Byłaś sama? – Mama trochę udała zainteresowanie, bo bardziej absorbowało ją już teraz to, że za dziesięć minut musi być z torbą z kanapkami na stacji, a za kolejny kwadrans w pierwszej firmie oddalonej dziesięć kilometrów od ich wsi. Tam zaczynały się obrzeża Garwolina, a na obrzeżach obrzeży liczne hurtownie i magazyny.

– Nie wiem... – Ewa skupiła się, żeby przypomnieć sobie coś jeszcze, ale przychodziło jej to z ogromnym trudem. – Pamiętam tylko, że było zimno i nad ziemią snuła się mgła, więc nawet jeżeli ktoś tam był, to nie mogłam go zobaczyć.

– Jedziesz ze mną? – Matka była już gotowa do wyjścia. – Podwiozę cię na przystanek.

Ewa pokiwała głową, wypila dwa łyki herbaty, wzięła do ręki pieczołowicie zapakowaną kanapkę i ruszyła za mamą.

Sławomirowi Wolskiemu nie śniło się nic. Pół godziny temu wrócił z pięciokilometrowej przebieżki i teraz kończył poranną toaletę, stojąc przepasany śnieżnobiałym ręcznikiem frotté w zaparowanej łazience. Mgiełka powoli schodziła z powierzchni lustra i ten czterdziestosześcioletni postawny mężczyzna mógł znów z zadowoleniem skonstatować, że upływ czasu właściwie go nie dotyczył. Miały na to wpływ intensywnie uprawiane ćwiczenia fizyczne, prawidłowo zbilansowana dieta, oczywiście kosmetyki oraz zabiegi odmładzające przeprowadzane w zaprzyjaźnionym gabinecie przy studiu fryzjerskim, do którego Sławomir uczęszczał raz na dwa tygodnie. Mężczyzna zerknął na leżący na blacie obok umywalki zegarek. Było wpół do ósmej. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, nie mogło zresztą być inaczej, bo w życiu Sławomira od najwcześniejszych lat wszystko zawsze toczyło się zgodnie z planem i zmierzało ku jasno wytyczonym celom, które jeden po drugim cierpliwie i do znużenia osiągał.

– Tato? – Zza drzwi dał się słyszeć nieśmiały dziewczęcy głosik.

– Zaraz wyjdę. Zjedzcie owsiankę, mama naszykowała.

– Ale mi się strasznie chce...

– To idź do łazienki na górę. – Sławomir nie lubił, gdy cokolwiek zakłócało jego rytuały.

– Ale tam jest Piotrek i nie chce mnie wpuścić!

Mężczyzna pokręcił głową, spojrzął jeszcze raz z zadowoleniem na swoją twarz w lustrze, po czym otworzył drzwi.

– Tylko raz, raz. – Uśmiechnął się do siedmioletniej, lekko puciołowanej blondynki, która trochę bała się na niego spojrzeć, bo doskonale wiedziała, jak bardzo tata nie lubi, gdy rano mu się przeszkadza. Dobrze się złożyło, że nie spojrzała na ojca, bo jego uśmiech był tyleż serdeczny, co nieszczerzy.

– Tylko siku, zęby potem. – Dziewczynka weszła do łazienki i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Sławomir spojrzął w kierunku jasnej, umeblowanej jakby w technice renderu 3D kuchni, gdzie przy zlewie z białej żywicy epoksydowej stała jego młodsza o kilka lat, atrakcyjna żona, której nie kochał, ponieważ nigdy nie kochał nikogo.

– Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś?

– Tak sobie, chyba pełnia była. – Monika, która już wiele lat wcześniej zorientowała się, że nie jest kochana, ale uznała, że tak prawdopodobnie musi być, wyłączyła palnik pod gotującą się owsianką i odstawiła garnek na blat obok, starając się nie zachlapać przy tym płyty indukcyjnej.

– Przesady, zabobony. – Uśmiechnął się nieco protekcjonalnie. – Pełnia ma wpływ na poziom wód w oceanach, ale nie na jakość snu. Może coś cię trapi?

Udał zainteresowanie, choć tak naprawdę myślami był już w zupełnie innym miejscu, na spotkaniu, które miało zacząć się za godzinę. Z jednej strony nieco się go obawiał, z drugiej czuł pewną ekscytację. To właśnie owo pobudzenie dawało mu największy napęd, sprawiając, że właściwie nie można było go zatrzymać.

– Odwiozę dzieci – odezwał się, zmieniając temat. – Potem mam spotkanie. Pamiętasz, że idziemy wieczorem na kolację do Nowickich?

– Oczywiście, kochanie. – Monika, mówiąc „kochanie”, od jakiegoś czasu czuła dyskomfort, ponieważ wcale nie była pewna, czy Sławomir rzeczywiście jeszcze nim jest. On, choć jej nie

kochał, zwracając się do niej „kochanie”, nie miał podobnego dylematu.

Dziesięć minut później na doskonale skrojony, szyty na miarę garnitur włożył stalowoszary płaszcz z wełny z domieszką kaszmiru i opuścił mieszkanie. Za nim wybiegła dwójka dzieci w eleganckich mundurkach z herbem szkoły przyszytym do granatowych sweterków w serek. Sławomir pozostawił za sobą smugę zapachu męskiej wody z wyraźną nutą paczuli, woni używanej przez mężczyzn na całym świecie, którzy niejako za swój obowiązek poczytywali sobie zdradzanie żon. Monika stała chwilę przy drzwiach, próbując sobie przypomnieć, po co właściwie tu przyszła, po czym wróciła do salonu, otworzyła barek i nalała sobie pierwszy tego dnia kieliszek wina. Za oknem w kierunku wyjazdu z posesji sunęło eleganckie bmw 740L kupione przez Sławomira głównie dlatego, że dokładnie takim samym do pracy i w delegacje funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu wozili jego starego znajomego, obecnego prezydenta.

Dwunastoletni saab 9-5 aero komisarz Agnieszki Polkowskiej kilka minut wcześniej skręcił z drogi asfaltowej w leśny dukt i teraz, trąc niemiłosiernie osłoną silnika o kępy trawy porastające środek drogi, brnął coraz głębiej w gęstwinę lasu spowitego poranną mgłą. Co kilkadziesiąt sekund z głośniczka w smartfonie odzywała się sympatyczna Ivona, sądząc po głosie, lekko wcięta barmanka z nocnego klubu, oddalonego od centrów kulturalnych świata.

– Skręć lekko w lewo.

– Ale gdzie? – Agnieszka podjęła rozmowę. – Tu nie ma nic w lewo.

– Teraz skręć lekko w lewo.

Zatrzymała samochód, opuściła boczną szybę i spojrzała przed siebie. Zauważyła, że od leśnego szlaku, którym posuwała się od kilku minut, rzeczywiście lekko w lewo odchodził jeszcze bardziej zarośnięty i jeszcze węższy kolejny dukt. Powoli ruszyła w lewo, a dźwięk tarcia osłony o trawę zmienił tonację i teraz przypominał torowanie drogi w stwardniałej glinie. Agnieszka była przekonana, że za moment utknie po wsze czasy w gęstwinie lasu, mgły, traw, szadzi i gliny.

– Za dwieście metrów na końcu drogi jesteś u celu – wybąkała Ivona, a Agnieszce wydało się nagle, że jej głos utracił wszelką pewność siebie.

– Sama w to nie wierzysz – odparła Agnieszka i w tej samej chwili dostrzegła w oddali inny, obcy dla tego otoczenia kolor. – A niech mnie, Iwonko, chyba znowu masz rację.

– Dojechałaś do celu.

Teraz plama nabrała kształtu i okazała się granatową furgonetką z charakterystycznym mikroskopem wymalowanym na prawej burcie. Agnieszka zwolniła i po kilku metrach zatrzymała samochód. Nie wysiadła jednak od razu. Najpierw sięgnęła po torebkę i po kilkunastu sekundach wytrzymałych poszukiwań wyciągnęła blister xanaxu, następnie spod siedzenia pasażera wydobyla butelkę nie wiadomo od jak dawna leżącej tu wody mineralnej. Wycisnęła dwie tabletki prosto do ust, popiła je wodą, w której – wnioskując ze smaku – zdążyły się już zdomowić pierwsze strzępki pleśni, głęboko odetchnęła i dopiero wtedy wyłączyła silnik, otworzyła drzwi i wysiadła z auta. W nozdrza uderzył ją od razu zgniły zapach wilgoci snującej się w wacianych smugach mgły.

Gdy zaparkowała wśród darni, okazało się, że oprócz granatowego vana kryminalistyki stały tu jeszcze trzy inne samochody – służbowy ford mondeo należący do Szwagra, oznakowana kia prewencji i czarny mercedes kombi przedłużony tak, by mogły się w nim zmieścić doczesne szczątki nawet bardzo wysokiej osoby. Na boku mercedesa widniał wyklejony starannie ze złotych liter napis „Hades”. Kiedy Agnieszka zaczęła się zastanawiać, czy taka nazwa jest aby na pewno do końca adekwatna, z zamyślenia wyrwał ją ten sam głos, który kilka godzin wcześniej obudził ją ze snu.

– Jesteś wreszcie, królowo. – Szwagier szedł w jej kierunku od strony skupiska drzew opasanych biało-czerwoną taśmą policyjną. – Chyba jeszcze pospałaś troszkę?!

– Nic nie pospałam. – Pokręciła głową. – Ale ja w przeciwieństwie do ciebie nie śpię na wszelki wypadek w mundurze i nie myję zębów na stacjach benzynowych.

– Kobieta. – Szwagier stał już przed nią i uśmiechał się od ucha do ucha. – Poza tym byłaś chyba po drodze u kosmetyczki.

– Nie, po drodzejechałam godzinę przez kretyński las, bez początku ani końca, tylko z samym, cholernie zamotanym środkiem.

– Gdybyś mnie posłuchała, zamiast odkładać słuchawkę, to z domu dojechałabyś tu w piętnaście minut, ale ty nigdy nie słuchasz nikogo, przez co każda życiowa czynność jest dla ciebie sto razy bardziej skomplikowana.

– Radzę sobie. – Agnieszka miała już dosyć ustalania przyczyn i skutków życiowych niepowodzeń, było na to za wcześnie i za zimno, a xanax nie zaczął jeszcze działać. – Co mamy?

– Trupa. – Szwagier czerpał wyraźną przyjemność z używania słów, które inni wypowiadaliby z odrazą. – Chodź, co ci będę gadał.

Pokiwała głową, bo wolała, żeby Szwagier już nic nie mówił, i ruszyła za nim między konary powalonych drzew. Przez myśl przebiegła jej myśl, że za milion lat te konary zmienią się w węgiel, a to nie wiedzieć czemu cholernie ją przeraziło.

Po trzech kwadransach podróży busem, który Niemcy skonstruowali do przewozu lekkich ładunków, a Polacy przerobili tak, by wozić zdecydowanie zbyt wiele osób, Ewa wysiadła przy stacji końcowej metra na Młocinach. Miała stąd sześć minut autobusem albo tramwajem do skrzyżowania Marymonckiej z ulicą Dewajtis. Potem czekał ją jeszcze siedmiominutowy spacer środkiem Lasku Bielańskiego do głównego kampusu Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie od dwóch lat studiowała teologię. Do rozpoczęcia wykładów została prawie godzina, którą jeszcze przed dwoma tygodniami spędziłaby prawdopodobnie w towarzystwie Roberta, a teraz musiała ją zagospodarować sama. Namysliła się i uznała, że najlepiej będzie, jeśli dotrze tam prosto na zajęcia. W innym wypadku istniało ryzyko, że spotka Roberta, a on w ramach leczenia wyrzutów sumienia zdecyduje się podjąć z nią jedną z przyjacielskich pogawędek. Nie znosiła tego. Przez ostatnie dwa lata rozumieli się właściwie bez słów, ale od momentu, gdy poinformował ją bez ogródek o swojej skłonności do osób płci tożsamej z płcią własną, okazało się, że rozmawiają w języku, którego w ogóle nie znają, udając jedynie, że potrafią się nim posługiwać. Wszystko, co było dotychczas tak uroczo szczerze i prawdziwe, teraz stało się sztuczne, egzaltowane i absolutnie fałszywe.

Ewa studiowała teologię na UKSW w tajemnicy przed starszymi zboru świadków Jehowy. Podjęcie decyzji o rozpoczę-

ciu studiów na uczelni katolickiej zajęło jej mniej więcej rok, wcześniej coś takiego nie przemknęłoby jej nawet przez myśl, ale ostatnio, a właściwie od mniej więcej półtora roku, zaczęła żyć w poczuciu jakiegoś ograniczenia. Wszystkie prawdy przekazywane jej przez lata, odkąd mama przyprowadziła ją do zboru po raz pierwszy jako siedmioletnią dziewczynkę, zaczęły jej się wydawać monotonne i mało odkrywcze. Zapragnęła dowiedzieć się o Panu Bogu czegoś więcej niż tylko tego, jak jest dobry i jakie nakazy wynikają z bezpośredniego i rzetelnego czytania Pisma Świętego. Mama, która do świadków Jehowy trafiła w najtrudniejszym momencie swojego życia, uznała, że to właśnie stamtąd przyszło dla niej wybawienie. To, że córka rozpoczęła poszukiwania w innym kierunku, stanowiło dla niej niemały problem, ale jako osoba z gruntu tolerancyjna, a przede wszystkim kochająca prawdziwie, nie próbowała czegokolwiek jej narzucać. Ewa zresztą nadal uczęszczała do zboru co tydzień, a czasem nawet dwa razy w tygodniu, prowadziła też działalność ewangelizacyjną, była tak zwanym głosicielem, choć w ograniczonym ostatnio wymiarze godzin. W miarę jednak zapoznawania się ze znacznie bardziej elastyczną i jakby wyrozumiałszą doktryną katolicką przesuwiała się coraz bliżej tradycyjnego chrześcijaństwa w obrządku rzymskim. O różnych aspektach wiary, o Robercie i jego nagłym zwrocie, trochę też o sukience, którą upatrzyła sobie ostatnio, właśnie rozmyślała, idąc ulicą Dewajtis w stronę widocznych już wież pokamedulskiego kościoła parafii Błogosławionego Edwarda Detkensa, przy którym znajdowały się zabudowania uczelniane. Kiedy chwilę później zmierzała do głównego wejścia na uczelnię, minął ją elegancki samochód z przyciemnianymi szybami. Ewa pomyślała nawet, że być może do księdza rektora przybyła jakaś oficjalna delegacja rządowa. Samochód skręcił jednak na parking i rozpoczął poszukiwania miejsca pomiędzy autami cywilnymi, co wykluczało taką możliwość.

Las. Młoda dziewczyna. Wygląda, jakby spała. Ale nie śpi. Wie, że zaraz umrze. I czuje, co robi z nią jej morderca, tyle że nie jest w stanie nawet mrugnąć.

Gdy nad ranem zostają znalezione zwłoki, na miejscu zjawia się komisarz Agnieszka Polkowska. Nikt nie chce z nią pracować – zbyt wiele wymaga, słynie z ostrego języka i jest bardziej inteligentna od kolegów. Jej zaangażowanie w każdą ze spraw nie bierze się znikąd: ma kilka tajemnic i wolałaby się nimi nie dzielić. Ostatnie, czego jej trzeba, to błyskotliwy psychopata – człowiek, który odczuwa emocje tylko wtedy, gdy poluje. Gdy wybiera dziewczyny, osacza je i zabija: powoli, delektując się ich cierpieniem. Jest precyzyjny i metodyczny, przekonany, że nikt mu nie dorówna. Nie popełnia błędów. Do czasu.

Kiedy na jego drodze staje komisarz Polkowska, będzie musiał zmierzyć się z równym przeciwnikiem, kimś, kto potrafi rozgryźć tok jego rozumowania i podążyć za makabrycznymi wskazówkami.

Czy Polkowskiej uda się ocalić kolejną dziewczynę, mimo seksizmu i niekompetencji jej szefów? Czy tajemnica z przeszłości, która dopada ją w chwili, gdy jej życie zaczyna się układać, pokrzyżuje śledztwo? Czy zdoła uratować życie kogoś, kto jest jej najbliższy?

cena 37,90 zł



www.marginesy.com.pl

PATRONAT MEDIALNY



POCISK